

MATERJAŁY I NOTATKI ETNOLOGICZNE.

Z „PAMIĘTNIKA“ M. MARKSA, WITEBSZCZANINA.

Z „Pamiętnika“ niniejszego, napisanego w czerwcu 1885 r. przez witebszczanina M. MARKSA (ur. około 1815 r.), ogłosiłem już w „Ludzie“ (1906, T. XII, s. 183 n.) wyjątek, któremu dałem tytuł: „Emilia Platerówna jako folklorystka“. Szczegóły ciekawe, rzucające nowe zupełnie światło na postać kobiety niezwyklej, opiewanej dla bohaterstwa swego nawet przez MICKIEWICZA, a której nie można odmówić pewnego miejsca i stanowiska w ludoznawstwie polskim, jak to wymownie okazała treść rzeczy, były usprawiedliwieniem ogłoszenia artykułu.

„Pamiętnik“ MARKSA, jak zauważono w przytoczonym roczniku „Ludu“, składa się z dwóch części: pierwsza o napisie „Ze wspomnień dzieciństwa“, druga „Coś o gwarze białoruskiej“. Z pierwszej, która z powodu anegdotycznej, powieściowo-obyczajowej osnowy w całości swej nie ma znaczenia dla folkloru, podaję tylko wyjątek p. t. „Znachor i lekarz ludowy“ (pod lit. C), z drugiej, pominąwszy rzecz o PLATERÓWNIE, ustępów pięć pod napisem: A) Ubiór ludu, mieszczan i żydów: tańce i zabawy chłopów witebskich, ich zepucie. — B) Hutornik i hutorki. — C) j. w. — D) Folklorysty i językoznawcy białoruscy w Witebsku. — E) Białoruszczyzna w Wilnie. — F) Moskwa 1835 r.; ustęp ostatni oryginału p. t. „Rodowód białoruski“ umieściłem jako przypisek do ustępu B), z którym organicznie się łączy.

Z pewnością „Pamiętnik“, a raczej „Pamiętniczek“ MARKSA, nie żywi uroszczenia do tego, by zająć jakiegokolwiek miejsce w tym bogatym, a świetnych przedstawicieli mającym dziale piśmiennictwa polskiego, a przecież, mimo wszystkie braki literackie, ma on coś,

co go wyróżnia od innych, mianowicie tendencję nawskrós folklorystyczną. A jak mało takich właśnie rzeczy u nas! — Witebszczyzna, ciekawy zakątek ziemi naszej, znachodzi w nim przed ogłoszeniem znamienitych naukowością czy literackim zacięciem prac i dzieł o Białej Rusi, albo też obok nich, bezpretensjonalnego spisywacza swoich właściwości, wypowiadających się w zwyczaju, poezji i języku, spisywacza, nie wszechstronnego i wcale nie głęboko sięgającego, lecz bez zaprzeczenia umiającego zdobyć się na uwagi i spostrzeżenia, niekiedy bardzo drobiazgowo i szczegółowo, ponadto przez nikogo nie przekazane, a historyczne znaczenie mające dla społeczności, wśród której się urodził i długie lata życia spędził autor.

Tą jedynie myślą powodowany, nie przykładając zaś miary fachowego ludoznawstwa, ani językoznawstwa do „Pamiętnika“, ogłaszam obecnie dalsze jego części, w żadnym razie nie bez interesu dla „Ludu“.

Kiepska, kiepska
 Koło Wiciebska,
 A koło Worszy
 Jeszcze horszy;
 A vzo¹⁾ w Mińsku
 Tak sawsim ...pa świńsku!
 (Przysłowie miejscowe).

A) Ubiór ludu, mieszczan i żydów, zabawy i tańce chłopów witebskich, ich zepsucie.

Ubiór ludu białoruskiego jest dzisiaj zapewne taki sam, jakim był przed laty, a może przed wiekami. Zipun i łapcie stanowią nieodzowne jego atrybuty i główne części składowe. Pod względem kultury umysłowej stoją Białorusini na niskim stopniu oświaty, pod względem zaś materialnym ogólna u nich, a co gorsza, beznadziejna bieda i nędza.

Inaczej zupełnie z ludem miejskim. Po 1825 roku (do tego czasu bowiem mogę dobrze sięgnąć pamięcią) w Witebsku, Białorusi ognisku, mieszczanie chodzili zwykle w długich aż do stóp surdutach i nosili buty, wysokie po kolana. Mieszczki stroiły się

¹⁾ W całym rękopisie białoruskie *u* MARKS oznacza literą *v*; cały zresztą tekst białoruski oddano wiernie według oryginału autora.

w spencery — niekiedy nawet ze złotogłowa — bez rękawów, zwane kicilami, — w długie, lniane, wełniane lub jedwabne spodnice, na które dziewczęta narzucały jeszcze białe fartuszki. Szerokie, białe rękawy koszuli, spięte u pięści, i takież kołnierzyk u szyi, upiększonej sznurkami koralu, bursztynów lub pereł, ślicznie uwydatniały i twarz i całą kibić w kicilu. Zawój z kolorowej, wełnianej chusty, z dużym, występującym naprzód węzłem t. zw. zumkiem, okrywał głowę. U dziewcząt tylko dwa warkocze, z pękami wstąg na końcach, spływały z pod zawoju. Odświeżony strój głowy dziewczuch stanowił kokosznik ze złotogłowa, walcowaty, bez denka, na pół stopy wysoki; kobiety zaś, szczególnie podstarzałe, nosiły kapelusze, zawsze jakiegokolwiek ciemnego lub całkiem czarnego koloru, wysokie prawie na stopę, rozszerzone nieco w górze i ścięte naukos ztyłu, słowem bardzo podobne do kaszkietów, używanych w wojsku rosyjskiem za czasów Pawła cesarza. Obucie składało się z wełnianych pończoch, najczęściej barwy niebieskiej, i trzewików bez korków.

Ubiór żydów witebskich był taki sam, jak w całej Białorusi: czapka lisia, jarmułka i pejsy — to najcharakterystyczniejsze szczegóły ich stroju i wyglądu. Żydówki, tak mężatki jak dziewczęta, nosiły stale na głowach zawoje i z wierzchu spodnic fartuchy: trzewików nie używały, nie lubiąc tego obuwia, miasto nich obchodzily się pantoflami o gładkich bez obcasów podeszwach.

Strój bardzo nielicznych Wielkorosjan (raskolników, filiponów) był dwojaki: mężczyźni odznaczali się armiakami, kobiety sara-fanami.

Na Wniebowstąpienie, Zesłanie Ducha św., Przemienienie (Spasa) i festy kościelne (na św. Jana i św. Piotra) podług staroego kalendarza zbierano się w różnych miejscach miasta i za miastem na tak zwane *ihryszcza* i *kiermasze*. Były to zabawy, trwające przez cały dzień, od ukończenia nabożeństwa w cerkwi aż do późnej nocy. Zjawiali się podczas ich trwania różnorodni handlarze jarmarkowi, obnosząc obwarzanki, pierniki, makowniki, orzechy włoskie i laskowe, boby świętojańskie i owoce. Często wano się nawzajem i bawiono śpiewem, pogawędką i przechadzką. Każdy dudarz, czy był sam jeden, czy ze skrzypakiem, stanowił kapelę odrębną. Młodzież śpiewała piosnki i tańczyła: miacielicę, koczerbichę, paduszaczkę, lawonichę lub lepietuchę, gracko rzucając się w różne strony, dziarsko

tupiąc nogami, klaszcząc w dłonie i kiedy niekiedy wykrzykując:
„hu ha!”

Czy te zabawy, tańce, pieśni, żyją jeszcze w mieście i poza miastem, jak za lat dawnych, wątpię, chyba zachowały się gdzieś w zaciszu, w dali od gościńców bitych i kolei żelaznych, tam, dokąd nie przepelzły jeszcze rozwiązłe piosnki obozowe i nie zmieniły poczciwej i czystej wesołości rozpasaną rozpustą sałdacką.

Oto co mi pisze ostatniemi czasy towarzysz mej młodości:

„Zbierałeś, tłumaczyłeś i cackałeś się niegdyś z piosenkami białoruskimi. Chcesz wiedzieć, co teraz tu śpiewają? Oto młodzież junacka nuci:

„Kak Baszkiewicz Abrywanskij
Pod Arsawoj sostojał...”

a zalotne dziewoje wyuczyły się od zalotnych sałdacików niby małoruskich piosnek, jak np.:

„I szumie i hudie,
Drobnij dożdzyk idie...”

z milutkim finałem:

„Nie dowioł jejo do domu,
Powalił jejo w sołomu...”

który śpiewają z zachwytem i oklaskami.

Daj, braciszku, na podzwonne! Wieczne odpoczywanie i piosnkom białoruskim i samej Rusi Białej!”

B) Hutornik i hutorki.

Czasami zjawiał się w mieście hutornik, żebrak, opowiadacz i śpiewak razem. Chodził on od domu do domu, a wszędzie podejmowano go serdecznie i obdarowywano hojnie. W Witebsku znałem dwóch tylko hutorników: jeden Włas był równocześnie dudarzem, chodził więc zawsze z kobzą; drugi Pilip Smuryj, lecz ten nie posiadał takiego, jak Włas, talentu. Łysy jak księżyc w pełni, z postaci słamazarny, był jednak Pilip dziwnym jakimś fenomenem poetyckim z usposobieniem uporu, nieugiętości i kaprysu. Uczęszczał tylko do domów, które znał i nieskwapliwie przyjmował zaprosiny lada czyje. Ojciec mój serdecznie mu sprzyjał i z tego powodu, ilekroć przybywał na kilkudniowy pobyt do miasta, zawsze wie-

czorem zjawiał się u nas, jakby to był jego dom własny, nocował i zrana z kijaszkiem i torebką szedł gdzieś na prachciku.

Hutorki jego zaczynały się zawsze jednakowo. Stawał w środku pokoju i utkwiszony oczy w stolowanie, jakby szukał natchnienia, po krótkiej ciszy przeciągle, prawie śpiewając zapytywał:

„Szov baj pa scianie, czy baić, czy nie?“

Musiano mu odpowiedzieć: „Baj, baj, baj!“

Po takim wstępie odchrząkiwał, zacierał ręce i zrazu cicho i powolnie, potem coraz to żywiej wiódł nić opowiadania, przepłatając je krótkimi śpiewkami. Podczas tego już to spokojnie stał lub przytupywał nogami na miejscu, już to miernie poruszając się i niby idąc drogą, szedł pięć lub sześć kroków naprzód, zakręcał się wtył i stawał znowu na środku pokoju.

Treść hutorki najczęściej była komiczna, a przedmiot jej stanowiło życie włościan lub wzajemne ich stosunki między sobą i z żydami. Czasami dotyczyła też panów obywateli, księży katolickich, unickich i prawosławnych, ekonomów, a nawet urzędników... wiejskich.

Lecz były hutorki także historyczne, choć również, jak poprzednie, pokroju humorystycznego. Jako bohaterowie występowali w nich: Pan Ahiński [Ks. OGIŃSKI], Pan Raczyński [rozstrzelany 1813 r. w Białem], Pan Pańtovski [Ks. JÓZEF PONIATOWSKI]. Powtarzała się tam, pomnę, kilka razy zwrotka:

„Poszła szlachta na try trachta,
Moskał na czetyry...“

a dalej słowa Pana Korsaka, dającego szczególniejszą komendę: „Panowie w nohi!“

Skoro po tym ostatnim zwrocie Pilip spostrzegł niezadowolenie na twarzy przysłuchujących się, dodawał uniewinnienie: „Won, jak naszy dziaciuki w rawalucju chadzili“ i zaklinał się: „A niechajże mianie Twardovskij skrucić, koli heta nie pravda!“

Po „bajaniu“ częstował ojciec Pilipa szklanką wódki i wieczera posilną. Ten, pokrzepiwszy się należycie, szedł do kuchni, by przespać się na piecu. Dobrej komitywy z ojcem moim nie zerwał; kilka razy jeszcze przychodził na prachciku do Witebska i zatrzymywał się stale u nas. Co się z nim stało później, ani skąd pochodził, nie wiem, byłem bowiem wówczas małym jeszcze chło-

pakiem. Z treści jego opowiadań mogłem tylko później wywnioskować, że Połock, Dynaburg, Borysów, Mińsk, Smorgonie, Oszmiana i Wilno były mu dobrze znane. Czy prachcika jego sięgała dalej, — rzecz to bardzo wątpliwa; „za Miałoj i nam miałoj“ — mawiał zniechęcony.

Pamiętam jeszcze jedną piosnkę jego, z przyśpiewkiem „dylhojda“ za każdym wierszem:

„A hdzież ty kraski? —	Paniczy pabrali! —	
	Dylihojda!	Dylihojda!
Paniengi parwali! —	A hdzież ty paniczy? —	
	Dylihojda!	Dylihojda!
A hdzież ty paniengi? —	Na wajnu paszli! —	
	Dylihojda!	Dylihojda!“

Tyle tylko wspomnienia o polskiem, pospolitem ruszeniu zostało na Białorusi!

W dodatku do „Pamiętnika“ zamieścił M. MARKS „Opowiadanie ostatniego hutornika Pilipa Smuryjego“ p. t. „Rodowód Białoruski“, które tutaj załącza się w odpisie, niewiadomo bowiem, czy w tej redakcji było ono publikowane.

Pytanie hutornika: Chodzić baj po ścianie. Czy baic, czy nie?

Odpowiedź chóru: Baj, baj, baj!

Hutorka: Oj dawno, dawno, dawno żyv kniaź Boj w Krasnopolje, niedaloko ad taho miasta, hdzie ciapier staic Dryssa. Dryssy toj tady nie było, a vsio taki i ciapier dziawuchi biahuć na kopcy Stavry i Havry, hałasiac tam i hukajuc ich.

Stavra i Havra byli sabaki Boja. Jon ich duża lubiv. Brali jany i wovka sieraha i miedzwiedzia łochmataha i łosia rahataha i wiepra zubataha.

I biehav jon z kanca w kaniec pa baram i puszczam i tolka jak schwacic siabie jakuju kniahińku, tak pastawic jej pasiku; i ina tam zywiec sabie jak v raj, jeść vsio z miodym, pjeć sytu ta i walaic sia na miachkich miedzwieżjich szkurach. A kniahiniek to u niaho bywało razam piac, da i sześć, i każnaja miała swaju pasiku, swaich parubkow i małaczanok. Prylecić z družynoju i sabakami k adnoj, pahulaic z niej, pawalaic sia, pacieszyc sia pa palam i lesam i pajdziec k druhoj, a attuda k trecij. Ładno żyłoš jamu i jaho kniahiniam; ładno było i jaho družynie i słuham. Razom jeli jany, razem i pili.

Nie było tady ni sprawnikow z stanowymi, ni panov z eko-
nomami i wojtami, ni pejsatych żydov-randarej. Nichto nie drav
z nas szkury, nie jev nasze mięso, nie ohryzav nam kości. Oj,
dziećki, ładno było, nie to, szto patom. Ta vsio heta prajszo,
davno prajszo, a nie wierniećsia. Wiecznaja pamiac jemu! Sły-
szycie, dziećki, wiecznaja pamiac! i vsio, szto my skażem wam,
skażycia swoim vnukam!

Wiecier po lesu hudziev,	Boh znaić, kudy spłyła.
Taj kudy to zaleciev!	Ni wiecier tot, ni wada
Wada, szto w reczkie ciekła,	Vžo nie wiernućsia siudy!

Pierwoj, samoj pierwoj kniahiniej Boja była Wolha, da-
czurka jahoże družynnika. Vzjav jon jeje u bački razem z Stavroj
i Havroj. Radziła jana adnaha tolko syna Bojku, starszaha va
vsiom kniażeskom rodzie. U Bojki było siascier mnoho a brata ni
odnaho. Szto Wolha radzić, to dziawucha — ukraśiwa, chwihurnaja,
ciekawaja, a vsio taki dziawucha nie dziaciuk!

Nie takaja że była druhaja kniahinia Rahnieda iz Połocka.
I hetoj szto ciuk — to dziaciuk; i paszli u nieja adzin za druhim:
Warhan, Zaranka, Nyzka, Abłauch, Samiszczza i Jurła. Za siadmym
razem spulhawała Rahnieda i radziła dziawuchu.

Treciej była Krasula iz Smaleńsku. Ad nieje radziliś Ciur
i Matus.

Czecwiortąja Oda iz Kijewa i radziła ina Boju Bażenia, Dzia-
wulu, Łapu i Tarańczuka.

Piatoju Donia, adna iz małaczanok Krasuli. Ad nieje radziliś
Hadziuk, Zabka, Kawurka i Rewun.

Szestuja vziov Boj pośle smierci Wolhi i addav jej Stavru
i Havru i vsich swaich sabak. A była hete Alda iz pomorskoj
Litwy, doczka starszaho popa pierunaha. Radziła ina kniazii dwoje
dziaciuków: Charoszczu i Czyża i umierła pośle wtorych radov.
Boj nie pusciv ad siabie siastru jaje Litu i imiev jeszcze ad nieja
dwacatoha syna Paciuka.

I ad hetich to dziaciukow bojowych razrozsia rod nasz pa
vsiej naszej ziamele i rozmnożysia na niej jak zirki na niebie, pakul
czornyje tuczy i z północzy i z połdnia i z woschoda i z zapada
nie zawałakli heta nieba i nie zatuszyli heti zirki da pasledniej
iskorki.

A wot jak paszło patom.

Bojka, adzin syn Wolhi, radziv Hacıuka, Hacıuk radziv Karašku, Karaška Trasztu, a Traszta Husaka i Płastuna.

Ad Husaka paszli: Huszczy, Pliszki i Kisieli.

Płastun radziv Wovka, Wovk Kołyszku, Kołyszko Sewruka, Sewruk że Lurku i Glinku.

Lurka radziv Woroszyłu, Woroszyło Połzika, Połzik Siwochu, Siwocha Koszku, Koszka Simaszku, a Simaszka Amielku.

Glinka że radziv Hłasku, Hłaska Chrypku, Chrypka Pietryszczu a Pietryszcza Wijuka.

I ad Bojki poszło 24 starszych radov.

Pierwyj syn Rahniedy Warhan radziv Piestuna, Piestun radziv Buraka, Burak radziv Repku, a Repka Lesowika, Lesowik że radziv Wjuna, Wjun Skirłu i Snitku.

Skirło paszov k Wołocham, a Snitka radziv Barsuka, Barsuk Sapočku, Sapočka Lipku, Lipko Hreczechu, Hreczecha że imiev Bulbu i Wołocku. Bulba paszov na Niepior za Kijew, a Wołocka radziv Byka, Byk Biełochu, Biełocha Pietucha, Pietuch Osinku a Osinka Słupku.

Ad wtaraho syna Rahniedy, Zaranki, paszli Taratutki. Adzin Taratutko radziv Ohryzku, Ohryzko radziv Kłopa, Kłop Huzku, Huzko Łuskinu, Łuskina Polatuchu, Polatucha Wydru, Wydra Krota, Krot Sopiellku, Sopiellka Ziaziulu, Ziaziula Błoszku, Błoszka że Bleduchu i Buraczka.

Bleducha radziv Świstuna, Świstun Rabinku, Rabinka Siliwurku, a Siliwurka Skrypoczku i Suczka.

Ad Skrypoczka paszli Szwedy, Ciaciery, Tołoczki i Szmurły.

Suczok że radziv Czujku, Czujko Wisłoucha, Wisłouch Dudku, Dudko że Tuptału i Kramziela. Tuptała paszov k Kijewu a Kramziel radziv Smolaka.

Buraczok że, brat Bleduchi, radziv Szyszku, Szyszka Zurku, Zurka Miakiszka, Miakisz Obucha a Obuch Krasku i Kulika.

Kraska radziv Leszcza, Leszcz Rybku, Rybka Toporika a Toporik Ryndu.

Ad Kulika że paszli Puszczy i Kuroczki.

Ad treciaha syna Rahniedy, Nyzki, paszli Drozdziki, Swirkuny, Sielezni, Prusy, Sosny, Szpaki i Hładzyszy.

Ad czecwiortaha Abłaucha: Zulei, Kniaźki, Korki, Krupieni i Dulki.

Piatyj że syn jeja Samiszcza radziv Misku i Łosia. Misko ataszov za Miežu k Maskwie, a Łoś radziv Siermiażku, Siermiażko że Kułaka.

Paslednij szastoj syn Rahniedy, Jurła, radziv Piesta, Piest radziv Piskuna, Piskun Praźnia a Prażeń Suszku i Sapuna. Suszka addzieliv sia u Maskwu, a ad Sapuna paszli Smuryje.

Ad Ciura, syna Krasuli, paszli Szkurki, Korowai i Sipki.

Ad Łapy, syna Ody, iduć Dubowiki i Byczki.

Pierwyj syn Doni, Hadziuk, radziv Łasicu.

Wtoroje Zabko radziv Myszku, Myszka radziv Onoszku, Onoszko że Lisiczku, Lisiczko Komara a Komar Kunu.

Trecij Kawurka radziv Wikułu i Wirłu.

Czecwiortyj Rewun radziv Dziadulu, Dziadula radziv Rodzianku, Rodzianka że Kalinku i Oborku. Kalinka paszov k Lacham, a ad Oborki paszli Torczyły.

Ad pierwaha syna Aldy, Choroszczy, iduć Ryły, Swiahi, Sipajły i Strechy, a ad wtaraha, Czyża, Zmurki. Adzin iz Zmurok radziv Wołczka, Ryka toho, szto paszov pa Dzwynie k Łatyszam, i Łuczynu, szto addzielivsia jeszcze dalszy k Słowiencam.

Paciuk, syn Lili, radziv Storożku, Storożka radziv Chochluka, Chochluk radziv Zuka, Zuk Wojciucha, Wojciuch Kryšku, Kryško Kościuka i Orluka.

Ad Kościuka paszli Piatki i Kułaki, a ad Orluka Zaby i Rabki. Ad odnaha że Zaby wyszli Kiszki.

Iz vsich hetich radov tolka wosim paszli w szyrokyj świat iskać szczascia za Dzwinoj, Nieprom i Mieżoj. Vsi astalić na radnoj ziamełkie, prisosaliś k niej, srasliś z niej i pakul sonca budzić hreć jejo, jany buduć jejo radnyju pachać i skaradzić.

C) Znachor i lekarz ludowy.

W domu rodziców moich bywał olbrzymi, barczysty chłopisko, o ciekawej postaci, nosił bowiem długie włosy, wtył zarzucone i spadające na plecy, miał czaszkę wąską i śpiczastą, szerokie, mocno wystające oczy, długie, kaczy nos i długą, ostrą brodę. Niepowabny zupełnie, o cerze mocno brunatnej i jasno-kasztanowatych włosach, ubierał się zawsze w surdut szary, sięgający niżej kolan i wysokie, ciężkie, ruskie buty-ostasze, o wywróconych, żółto-słomianych cholewach.

Był to pan Topolski, ekspodoficer wojsk polskich.

Ilekoć przyszedł do nas, szczególnie gdy rodziców nie było w domu lub przynajmniej ojca, przed którym miał mores niezwykły, jako dawnym porucznikiem, brał mię pod opiekę i bawił opowiadaniem o swych pochodach wojennych po Europie, a przedewszystkiem o wyprawie do Hiszpanji. Naturalnie kłamał, jak „lis korsykański“, przechwalał się, jak „oberżysta z Neapolu“ i plółł androny, jakich nie znajdziesz ani w „Tysiącu i jednej nocy“, ani nawet w biuletynach wyprawy moskiewskiej; mimoto w ciekawości dziecięcej słuchałem go z przyjemnością i zainteresowaniem, wyciągając corazto nową opowieść pytaniem: „Jakże to, a cóż dalej, dalej?“ Wprawdzie ojciec mój i przyjaciel jego, często bywający u nas proboszcz u św. Barbary za Dźwiną, ks. Jasiński (o którym możnaby pisać epepeje jak o Jacku Soplicy), bardzo często, a nawet bardzo ostro łajali Topolskiego za bezczelne bałamucenie mego rozumu i wyobraźni, ale on nic sobie z tego nie robił, powtarzając na swoje niewinność słowa: „Ta to nic, Panie poruczniku, to tylko tak dla zacięcia“.

Proweniencja Topolskiego była tajemnicą: pewnem było tylko to, że jako podoficer służył w wojsku polskiem i odbył „wielką wojnę“ 1812 r. Wtedyto, podczas przechodzenia Berezyny, ugrzązł w błocie, a nie mogąc się wyratować, został wzięty do niewoli i jako jeńiec przez baszkirów zaprowadzony do Witebska. Tu został na zawsze, ożenił się z mieszczańeczką, Praksedą Siliwurką, i posiadał z nią chałupkę na końcu miasta u monasteru św. Marka, dość obszerny ogród i kawałek pola. Motyką i sochą prując ziemię, opędzał się Topolski od biedy jako tako; klepał życie, jak mógł i umiał, a trzeba powiedzieć, że umiał on względnie wiele. Nie była to jednak wiedza, nabyta przez lekturę, bo książek z powodu wielkiego do nich wstrętu nie czytał żadnych, z wyjątkiem „Kalendarza Berdyczowskiego“, w który wierzył bodaj więcej, niż w Ewangelię, który czytał i przechowywał jak świętość, nie pozwalając nikomu doń zajrzeć. Wałęsając się po Europie z legjonami, przypatrywał się zwyczajom obcym i obcemu życiu, pochwytał zewnętrzne oznaki cywilizacji narodów wysoko stojących i przystosował je do swej pozycji w świecie. Stał więc nie moralnie lecz umysłowo znacznie wyżej od sfery swego otoczenia, a przez to pozyskał u niej zaufanie wielkie. Kilka uzdrowień środkami przez się doradzonemi i kilka spełnionych przepowiedni, wy-

rachowanych zapomocą doświadczenia, nabytego gdzieś na krańcach światach, utrwaliło mu wśród masy ciemnej i łatwowiernej sławę znachora, mędrca, doktora a nawet proroka.

Pomimo upomnień ks. proboszcza Jasieńskiego, że wyklnie Topolskiego z ambony, jeżeli nie zaniecha guseł, czarów i kabały, wykładał on karty dziawuchom i dzieciukom, wskazywał gospodarzom sposoby odszukania skradzionych koni i bydła, a co najwięcej: wykrywania skarbów, zakopanych w ziemię w czasie katastrofy 1812 roku. Będąc w ariergardzie „wielkiej armji“, mógł wiedzieć coś o takich schowkach wojennych. Udało mu się też kilka takich praktyk znachorskich, w rzeczywistości nadzwyczaj małoważnych, ale wystarczających, by sławę ekswojaka roznieść daleko, nawet poza granice gubernji. Szczególnie często powoływali go w tej sprawie obywatele smoleńscy, którzy w dobrach swoich, leżących na drodze pochodu i odwrotu armji francuskiej, spodziewali się znaleźć skarby bajeczne.

Raz wcale nie powiodła się Topolskiemu ekspedycja taka. Zaprosił go mianowicie pewien zrujnowany „pomieszczyk“ powiatu porzeckiego, aby mu wskazał skarby zakopane: było to w czasie straszego nieurodzaju i takiego niedostatku, że ludność wiejska wymierała z głodu. Topolski, przybywszy na miejsce, kazał rozkopywać pewien pagórek. Spędzono głodnych chłopów do roboty pańszczyźnianej; jęto się rozkopywania i po pewnym czasie natrafiono na tak zwaną „mąkę górną“, białą i rozsypującą się na miękko. Głodem trawiona rzesza rzuciła się na nią jak na dar boży, zesłany w ciężkiej potrzebie; rzeszotami więc, worami, wiadrami, a nawet czapkami roznoszono znalezione mąkę po chatach; ludzie popiekli z niej chleby, spożyli je i — większa część ich zmarła! Dowiedziawszy się o tem Topolski, zemknął co prędzej i nie chciał już nigdy robić wycieczek w Smoleńskie. Śledztwo sądowe, po wypadku tym podjęte, wykazało, że mąka ta składała się po większej części z gipsu i nic więcej; rzecz cała skończyła się oddaniem jej całkowitem „sudu bożiju“.

Zajście to mimo tragiczność całą, nie przyniosło jednak najmniejszego uszczerbku ani Topolskiemu, ani jego opinji znachorskiej; miał on za sobą wiele: przekonanie powszechne wskazywało w nim posiadacza jedynie cudownego, jedynie skutecznego lekarstwa na wściekliznę. Różni różnie o tem mówili; jednak podczas mego dziesięcioletniego obserwowania praktyki lekarskiej Topol-

skiego, miałem sposobność przekonać się, jeżeli nie jestem złudzony, o skuteczności i o dzielności jego kuracji. Oto między innymi zdarzył się raz straszny wypadek pokąsania więcej niż dwadzieścia osób przez wściekłe psy i wilki. Wszyscy pacjenci, którzy się oddali opiece gubernjalnego inspektora medycznego, wsławionego Hübentala, pomarli śmiercią okropną. Ośm tylko nieszczęśliwych, którzy zgłosili się do Topolskiego, wyzdrowiało zupełnie.

Zasadniczym bodaj środkiem, którym ten cudowny lekarz się posługiwał, był dekokt wysuszonej z liśćmi i kwiatami rośliny: *Lothus corniculatus* (*Ornithopodium corniculatum*). Czy oprócz tego używał on jeszcze innych ingrediencji, nie wiadomo, pozostało to jego osobistą tajemnicą, którą zapewne zabrał do grobu.

D) Folklorysty i językoznawcy białoruscy w Witebsku.

Może za przykładem panny Platerówny Emilji, która bodaj że pierwsza z zapalem, właściwym czułym i szlachetnym sercem, oddała się duszą ludowi, a może z innej jakiej inicjatywy zjawili się w Witebsku dość liczni badacze języka i zbieracze pieśni i opowiadań ludu białoruskiego. Do najstarszych, co pamiętam, należy zaliczyć **ĆWIECIŃSKIEGO**, zmarłego w Moskwie, i **ALEKSANDRA ZBROŹKA**, którego poezyjki były drukowane w rozmaitych czasopismach zagranicznych; następnie **TADEUSZA ŁADA ZABŁOCKIEGO**, zmarłego na Kaukazie w 1847 r., i **ROMUALDA ZIENKIEWICZA**, tłumacza i wydawcę pieśni ludu pińskiego; wreszcie **STANISŁAWA MARKIANOWICZA** i cały zastęp młodzieży, do którego zaliczam i siebie.

Nasampród zjawiała się u nas trawestacja pierwszej księgi „Eneidy“.

Urywki z niej, ile wspomnę, przytaczam.

Oto jak Eol spotyka Junonę:

„Zdorov, chwigurnaja Junona,
Davno ciabie ja nie widav“,
I try jej zdielavszy pakłona,
Miaкотnaha na stoł padav.

Ina miakotnaha padjeła,
Uciorłaś chustkij, tak zapiela:

„Nie znaisz majaho ty hora,
Janej z Trojancami pływieć.
Spichni szwydczej jaho ty v mora.
Nichaj nieczyścik wadu pjeć!

Ty znaisz: baham jon zvodnik,
Złodziej, waruha, kanawodnik,
Pryjauw zrobić na świetu.
Za to dziawuchnu ukrasiwu,
Sałodkuję jak z miodym śliwu,
Tabie ja zavtry prywiedu“.

Jawoł rasczupav heta dzieła,
Z niaho aż ślinka pacieklä;
Lubiv cieszyć jon hreszna ciela —
Dziewuchna pa nutry paszła,

Łupiv jon zuby, barmatav,
I tak Junonie adkazav:

„A woch ci mnie, moja Junona,
Szto budu dziełać ja ciapier,
Nietuć ni adnaho wietra doma:
Barej, upiwszyj jak wiapier,
Leżyć, opiorszyj na baczonkie,
A Nord pajechar k swojej żonkie,
Zafir z dzievkami zahulavsia,

A Jawier w batraki naniavsia.
Jak хочysz sabie, tak rachuj.

Dy jedź da domu, nie turbuj,
Nie budu tobie lichadziejem,
Nieboś — upravluś ja z Janejem!“
I woś Jawoļ holeń schwacivszy,
Na pańszczynu hukać jon stav,
I woś jon, wietry razpusciwszy,
Burlić im mora prykazav.

Eneas z modli się do Neptuna:

„O car, carewicz, hrap Nieptun,
Zmiłujsia, mora uśmiry,
Ja krepkyj tabie ciartuchy,
Kabackyj, moszcznyj ja siwuchi,
A hroszy sam z maszni biery!“

Nieptun da hroszy miew achotu,
Harełku dobra jon ścibav,

Poczuv, szto budzić za rabotu,
Jak raz na wietry zakryczav:

„Procz, wy nieczyściki, lakruciny,
Z jakiej chwantazji wy tut?
Nie to! — skasztujecia dubiny,
I pa nazdram rażnom daduć!“

Uczta po burzy:

Wzialisz Trajancy za jadzienje,
Jak z pola pańskie charty.
Była tam z załovkoj krupienja,
Kułahu pchali w żywoty,

Była i huszcza i draczona
I parasiacina smażona;
A na zajedku pad kaniec
Z alejem smacznyj sialadziec.

Trojanie stają przed Dydoną:

„My vsie trajańskaha prychoda
Dwarcowy piered ciem byli,
I v osień proszłaha hoda
Ad tuda v mora uciekli.
My vsiaka dzieła dziełać znaim:
V broware sidzieć zmikajem,
Pilip nam lepić hartaczy,
A Waśka k słupam tawkaczy,
A Savka ziela vsiaka znaić,
Dzieciam jon wohnik adsikaić,
Cukav jon także warażyć,

Czemiery vsiaki adwadzić.
O wience kornaja Dgidona,
Ty nas u krepoś zapiszy,
V niedzielu rob sabie dwa zhona,
Służyć my budzim ad duszy.
Koliż nam łaska twaja budzić,
Wieli nam bańku pratapić;
Adzieżu nužno nam poprudzić,
A to ina tak kiszyć,
Szto i na świecie nie można żyć!“

W lat pięć później dokonana była edycja druga „Eneidy“ trawestowanej: „izdanje vtoroje umnożeno v troje“, lecz bardzo niezgrabna, bo, chociaż rzeczywiście powiększona przez wstawienie w różnych miejscach dodatków, to jednak błędna z powodu mnóstwa wyrazów, nieużywanych przez lud białoruski, z powodu toku opowiadania, niewłaściwego gwarze, i nakoniec zupełnej nieznamomości myśli i uczuć, kryjących się w sercu i duszy ludu.

Jakiś urwisz, bodaj jeszcze przed „Eneidą“ wspomnianą, strawestował także różaniec, z którego pamiętam tylko:

Pionty smutek — hałowka balić.
 A hdzież taja chlaszyczka, szto z wodkyj staic? —
 U kleci, pad żernami;
 A prydzieć że, haspadyńka, dy napjecca z nami.

ANTYFONA.

Chlasza harełki, kialiszyk zielony,
 A chto napjecca, tot budzić czerwo-o-Ony!

Uwagę naszą co do gwary białoruskiej zwróciło nasamprzód to, że nadzwyczaj wiele posiada nieodmiennych części mowy, które w składni odgrywają rolę czasowników i zawsze oznaczają chyżość i spotęgowanie akcji. Oto przykłady: „Trahil rahom ab skamarajo, naciulpav na kukisz, niuch ciartuchi i kichnuv“ (Uderzył rogiem o ławę, natrząsał na duży palec, zażył odrazu (= niuch) tabaki i kichnął). — Myśliwy opowiada: „Zajka ciahil, ciahil; ja za kramziel, pstryk i — spulhawało“ (Zając rozciąga się, rozciąga się; ja za kurek, skrzeszał (= pstryk) i — spudłowało). — „Iwacha hrym v szejju (uderzył (= hrym) w kark) Pietruchu, a tot jaho tyc w ryło“ (palnął (= tyc) w twarz). — A oto chłop uskarża się, iż go „stanowoj“ „pieloch v ucho, laskis v druhajo“ (palnął w ucho i na odlew w drugie).

Drugą, wartą uwagi rzeczą w piosenkach białoruskich jest różnorodność wierszy, tak iż rymowane przeplatają się z nierymowanymi i wielozgłoskowe z krótkimi, czasami w jakimkolwiek porządku i symetrycznie, ale częściej tak, iż żadnej symetrii znaleźć w nich niepodobna. Jako przykład przytaczam piosnkę weselną, bardzo śpiewną, chociaż o wierszach, różniących się co do ilości zgłosek:

Chadziła kozyńka pa łuham,
 A za niej v sladok
 Wawczok.
 Choć chadzi, nie chadzi
 Kozynka,
 Być tabie sjedzienyj,
 Kozynka,
 A cihacca kiszkam
 Pa łuham,
 A walacca nożkam
 Pa darożkam.

Chadziła Hanulka pa dwaru,
 A za niej v sladok
 Łukaszok.
 Choć chadzi, nie chadzi
 Hanulka,
 Być tabie za mnoju,
 Hanulka,
 Styć tabie żanoju,
 Hanulka.

Co się tyczy treści piosnek ludowych, można na pewno twierdzić, że są pocziwe, moralne, a czasami nawet estetycznie wzniosłe. Oto jedna z erotycznych:

Aj vžo sonca zaszło	I piarun żyhuczuj
I tuman lażyć,	Ad ciabie lacić.
I jak twajo liczko,	Zirka lubić nieba,
Niebo tak haryć.	Leszcz lubić wadu,
Tam czorny tuczy,	A i mnie nie treba
A v tuczach blascić,	Jak ciabie adnu.

Pamiętam miłą piosenkę, zaczynającą się słowami: „Nia dury, panicz, nia dury, Widź ja tabie nie niewiasta“, co do treści zupełnie podobną do krakowiaka: „Mospanie kawalerze, nie żartuj, proszę, ze mną“.

A oto jak się ujawniły głęboko zatajone aspiracje ludu:

Na papowym na łuhu, Ich woch!	Da i pomież ludziej. Ich woch!
Maskal razbiv mnie dudū. Ich woch!	Oj, markotno bez niej! Ich woch!
Oj, nie dudka że była, Ich woch!	Kaby tomu maskalu, Ich woch!
Wiesieluszka była. Ich woch!	Dy wisieć na suku, Ich woch!
Wiesieliła mianie, Ich woch!	A vžo i popu tomu, Ich woch!
Na czużoj staranie, Ich woch!	Baradatomu! Ich woch!

Nakoniec wspomnę o pieśni: „Szow Boh pa dorohie“, która przy niezmierniej prostocie opowiadania tak jest wzniosła, iż gdyby niewiadomo było, iż GOETHE swoje „Gott und Bajadere“, zapożyczył z Indyj, każdy posądziłby go, iż musiał mieć pod ręką niemiecki przekład białoruskiego oryginału.

Żal niepowetowany, gdy takie estetyczne zasoby nikczemnieją w tak pocziwym ludzie! ¹⁾

A jednak zauważyłem, iż przed 20 laty rozwój gwary białoruskiej w Witebsku cofnął się do zupełnego prawie upadku. Wychodzący ze szkół miejscowych mówili nibyto po rosyjsku, a słowianofile moskiewscy, przez absolutną nieświadomość dźwięków i ducha gromady słowiańskiej, przypisywali im polskie pochodzenie (polskoje proizchożdienije) z tego powodu, iż oni końcówkę *t* zmieniali na *ć* i nie mogli zmiękczyć dźwięku *r* (piszuc, buduc zam. piszut, budut; zara, rad zam. zarja rjad). I dramaturgowie i artyści dramatyczni korzystali z tego, kalecząc swą mowę w rolach kruczków, przecher, nikczemników i łajdaków, by sprawić więcej

¹⁾ Pieśni tej — niestety — niema także w rękopisie MARKSA.

efektu i uzyskać więcej oklasków od publiczności, co w prostocie ducha śmiała się aż do rozpuku z jakiegoś polskiego akcentu, w którym nic a nic nie było polskiego.

E) Białoruszczyzna w Wilnie.

Drugim ogniskiem studjów nad gwarą białoruską było Wilno. Wiadomo, że Mickiewicz z Marylą śpiewali piosnki ludowe, — że też Maryła, będąc już panią Putkammer, śpiewała przy fortepianie:

„Czerez moj dwor, czerez moj sad
Ciaciera laciela.
Nie dav mnie Boh, nie dav mnie Boh
Kaho ja chaciela!“

A JAN CZECZOT starannie zbierał, tłumaczył i wydawał je wraz z tekstem oryginalnym. Później nieco, w jednym prawie czasie, w którym J. I. KRASZEWSKI wystąpił z „Ostapen Bondarczukiem“, a I. CHODŹKO z „Obrazami Litewskimi“, WINCENTY MARCINKIEWICZ praktycznie wystudjował język i począł pisać wprzód niewielkie utwory w kształcie bajeczek i piosnek, potem większe hutorki i nakoniec przystąpił do tłumaczenia znakomitego poematu „Pana Tadeusza“. Teraz przekład znajduje się bodaj czy nie w redakcji petersburskiej gazety „Kraj“ i może przemawiać wskutek tego sam za siebie. Mnie należy wspomnieć jeszcze o jednym zapomnianym pracowniku i miłośniku mowy białoruskiej, KONSTANTYM KALINOWSKIM. Oto początek i koniec jego pożegnania z Marysią, napisanego w przeddzień śmierci:

Maryska czernobrywa, ziaziuleczka maja,
Hdzież padzielo sia szczascio i jasna dola twaja?
Vsio prajszo, dy prajszo, jakby nie bywalo;
Adna straszenna horycz v hrudzich zostala!
.....
Horka pakinuć ziemielku radnuju,
Hrudzi zastohnuć, sierco zabolić!..

Z wierszowanych odezwo do Białorusinów, pisanych 1862 r., przytoczę jedną, mającą pewną wartość polityczną i kulturalną, a będącą owocem pióra jakiegoś urzędnika pana gubernatora mohylewskiego:

Chuda żyć na świecie stała
 Ani soli, ani krup,
 I skacinie kormu mało
 I samamu ani v zub.
 Kalita lażyć pad łavkyj
 I pry niej parożnyj hlak,
 Ad kolad my z kumym Savkyj
 Pacirali w hubie smak.
 Pusto v puni, pustó v kleci...
 Widno czort vsio biareć.
 Zonka chwora, płaczuć dzieci...
 Jakawoż na nich hladzieć!
 No pora zabyć nam hora,
 Cyc, nieboha, trochu cyc!
 Wot daduć swabodu skoro,
 My jak ptuszki budzim żyć.
 Budzim rovnyj z panami,
 Sami budzim my pany
 I harełku pić zbanami
 I hulać tak, jak jany!
 Perestanuć naszym bratom
 Jak skacinyj tarhować,

Napuskacca lichim matom
 Szkuru z nas da kozki drać.
 Choć hałodno, choć chałodno,
 Hołyd, chołyd ni paczem,
 Tolkib było żyć swabodno,
 Na swabodzie zażywiem!
 Wot panam nie tak to łowka,
 Sami stanuć pracować:
 Zabolić niraz hałowka,
 Kali prydziecca pachać.
 Nie adzin to papacieić
 I zaskaczyć drapaka,
 Bo sam tolki jeść umieić
 I drać szkuru z muzyka
 Jakby byv jakij skucinyj
 A... horszy ad niaho
 Bili puhyj i dubinyj
 A ciapier, brat, tak jaho!
 Nasz brat budzić nia skacina,
 Niraz skażyć pan z panow:
 Panie Hryszka, panie Mina,
 Jakie waszyć, czy zdarov?...

Resztę pomijam dlatego, że ni pan gubernator, ni jego czynownik do osobnych zleceń nie mogli, po półrocznym przylocie ze wschodu, mieć najmniejszego wyobrażenia i pojęcia o gwarze białoruskiej, a mogli ją tylko kaleczyć, co też spełnili — jak najprzekładniej.

F) Moskwa 1835 r.

W 1835 r., w czasie pobytu mojego w Moskwie, partja słowianofilów pod wodzą POGODINA tylko co zaczynała uzbrajać się przeciw Zachodowi (protiw zapadnikow). Sam POGODIN wówczas, powszechnie zwany lord (żonaty był z angiolką i w pożyciu chciał naśladować we wszystkim angielską arystokrację), jeszcze umysłowo nie zwichnął się ostatecznie. Nastąpiło to dopiero później, gdy począł tłuste kulebiaki zapijać miodem syconym i ubierać się jak bojar XVI stulecia.

Słowianofile natenczas byli bardzo nieliczni. W gronie ich odznaczeni się szczególnie bracia KIREJEWSCY, obaj światowi, światli, szlachetni, utalentowani, skromni i nadzwyczaj umiarkowani w dążnościach. Miałem sposobność poznamienia się z nimi, a uprzej-

mością ich i współczuciem byłem najczulej zobowiązany. Nauczyciel rosyjskiej literatury, CZYSTIAKOW, nadesłał w tymże czasie KIREJEWSKIM z Witebska kilkanaście piosenek białoruskich, w których liczbie była wyżej zacytowana: „Aj, vzo sonco zaszło“. Rozumie się, CZYSTIAKOW pisał grażdanką. Zachwycali się obaj treścią, rytmem, czytali piosenki kilkakrotnie, lecz mocno się zdziwili, gdy im powiedział, że żaden Białorusin nie uznałby ich za białoruskie, gdyby słyszał, jak oni je czytają. Powolnie więc, każde słowo prawie oddzielnie przeczytałem im, robiąc przycisk na dźwięki, wyróżniające białoruszczyznę od języka rosyjskiego. Słuchali uważnie. Najbardziej zajęło ich *u* krótkie (*v*), którego nie mogli zrozumieć. Wskazywałem im łacińskie *au* i *eu*, lecz to nie pomogło, bo oni z przyzwyczajenia czytali *aw*, *jew*. Radziłem przystosować pisownię polską z przyłączeniem *v*, które na pomnikach rzymskich i w starych rękopisach używało się wszędzie zamiast *u*. Lecz im chciało się koniecznie grażdanki, a ta się nie nadawała. Więcej niż tydzień decydowano o tej nieszczęsnej pisowni. Przywołany na radę kolega mój i przyjaciel, KAJETAN KOSSOWICZ, rodem Białorusin, znany już wówczas lingwista, a później profesor zendu i sanskrytu w Petersburgu, zwrócił im uwagę na to, że w głągolicy są dwa *u* — długie i krótkie. Kiedy kirylica uformowała się z alfabetu greckiego za dodaniem liter, których brakowało, więc czemużby i teraz nie można dla gwary białoruskiej wziąć z głągolicy *u* krótkiego, przekształcić go, jak przekształcono inne litery w grażdancie i zaradzić potrzebie i prosto i łatwo. Tu wszczęła się sprzeczka o tem, czy głągolica czy kirylica była starszym alfabetem słowiańskim, co poprowadziło do szerszych dyskusyj. I wkońcu, jak zwykle w takich razach bywa, sprawa spełzła na niczem.

WILHELM BRUCHNALSKI.

Z KRONIK KOŚCIELNYCH.

I. Kronika w Miłówce.

Nie wyzyskane przez naszych etnografów i folklorystów kroniki kościelne, znajdujące się w każdej parafji, zawierają często wiele ciekawego materiału do poznania zwyczajów, obyczajów i wierzeń ludowych.